

IV edycja rajdu rowerowego „Dookoła Polski z MKT”

Morze, nasze morze

(cz. I)

Czas płynie i więcej niż połowa projektu Dookoła Polski z MKT pozostała za nami. Cała granica wschodnia od Bieszczadów, przez Pogórze, Lubelszczyznę, Podlasie, Suwalszczyznę, Mazury i Warmię, z okładem 2 tysiące kilometrów mocno dała się już we znaki wszystkim, którzy zdecydowali się wsiąść na rowery i ruszyć z nami po drogach i bezdrożach peryferiów naszego kraju. Na tegoroczny wiosenny rajd zdecydowali się niemal wszyscy uczestnicy z ubiegłego roku, to jest piszący te słowa Piotr Paprzycki, Dorota Lewińska, Alicja Rokicka, Robert Kieszko, Michał Drożdż i Andrzej Szyszko, a tym razem przyszło nam pokonywać naszą granicę morską od Świnoujścia do Fromborka. Prezes Klubu Paweł Krawczyk postanowił z żoną Kamilią i synkiem Adasiem oraz Anną Walkowską i Anną Sosik wyruszyć naszą trasą kilka dni wcześniej w niespełnionej nadziei, że go dogonimy. Jego uwagi telefoniczne bardzo pomogły nam w planowaniu trasy i noclegów. Tym razem charakter rajdu miał być inny. Ponieważ ciężko użyć rower jako pojazd wodny, trasa z konieczności wypadła dużo dalej od granicy niż zwykle – rzeczywistą granicę Polski stanowi kres jej 12-milowych wód terytorialnych. Granica sięga więc ponad 20 km od wybrzeża. Jadąc po lądzie byliśmy pełni obaw o tłumy turystów w nadmorskich kurortach. Raczej nikt nie był szanse zabiwakowania na odludziu, ale może nie całkiem?



Na leśnej drodze w okolicy Fromborka

zatrzymuje nas na dłużej i skłania jak zwykle podczas naszego rajdu do rozmyślań na temat polskości, granic i historii.

A to Polska właśnie

Wspaniałym aspektem rajdu „Dookoła Polski z MKT” jest jego przedziwna egzotyka. Niby jedziemy przez Polskę, a tymczasem, co raz to napotykamy ślady obcych kultur i zjawiska nietypowe dla naszej „średnio-polskiej” przeciętności. Do innych poruszających zjawisk, które mam nadzieję odchodzą powoli, acz z wielkim oporem w niebyt, należą Polskie Koleje Państwowe. Oto okazuje się, że nie wystarczy wykupienie biletu i rezerwacji miejsca sypialnego oraz zapłacenie osobno za transport roweru w pociągu Inter-City na 3 tygodnie przed wyjazdem w kasie PKP. Już na lubelskim dworcu konduktor z rozbijającą szczerością oznajmia nam, że nie ma gdzie wstawić naszych rowerów.

Nie jesteśmy jedynymi ofiarami, kilka osób też wiezie rowery – turystyka rowerowa staje się w Polsce coraz bardziej popularnym sposobem wypoczynku, a pociąg to najlepszy i najtańszy sposób dostarczenia roweru na odległą wycieczkę. Jednak do władz spółek PKP fakt ten dotrze dopiero wtedy, kiedy zostanie już zlikwidowanych większość kolejowych połączeń z powodu nierentowności. Bo jak nie utracić klientów, jeśli każe im się wtykać rowery w przejściach i ubikacjach, a potem budzi po nocy, aby te same rowery przenosić do innych przejść i ubikacji, bo tak życzy sobie nowy kierownik pociągu. Na dodatek okazuje się, że łamiesz prawo zostawiając rowery na pomostach i że tak właściwie to kolejarze mogą je po prostu wyrzucić – wszystkie te przyjemności funduje ci kolej za zapłacony przez ciebie legalny bilet.

W Świnoujściu wysiedliśmy niewyspani, ale szybko otrzeźwiło nas rześkie, poranne powietrze. Znaleźliśmy się na największych polskich wyspach Wolin i Uznam oraz w jednym z największych polskich portów. A co z granicą? Jest i granica. Już na kilka kilometrów daje znać o sobie licznymi barami i tłumami niemieckich turystów oraz europejskimi cenami. Do samej granicy dojeżdża ze strony Niemiec lokalna kolej, oczywiście bez problemu można nią przewozić rowery (bez komentarza). Tradycyjną fotografię robimy przy słupie granicznym, tym razem z czarnym orłem na żółtym tle i ostentacyjnie wyciągamy własne jedzenie, gardząc smażonymi rybami, kielbaskami i frytkami w niebotycznych cenach. Najedzeni, ruszamy w drogę, najpierw by zobaczyć morze. Jest słonecznie, ale trochę wietrznie i nie ma chętnych na kąpiel przy ujściu Świny do Zatoki Pomorskiej – tylko Ala decyduje się zamoczyć nogi. Spacerowiczów także jest niewielu. Tuż obok napotykamy pierwszy na naszej trasie obiekt zabytkowy, który



12 marca 1945 roku, w samo południe 22-tysięczne Schwenemünde było przepełnione kilkudziesięcioma tysiącami uciekinierów przed Armią Czerwoną, gdy na życzenie stojących już nad pobliską Dziwną Rosjan, amerykańska 8 Flota Powietrzna w sile prawie 700 latających fortów B17 zrzuciła na miasto 1600 ton bomb. W ten sposób dzisiejsze Świnoujście doświadczyło losu, jaki przedtem zgotowano Warszawie. W ciągu godziny miasto zostało praktycznie zrównane z ziemią, a od kilku do kilkunastu tysięcy ludzi (dotąd nie wiadomo!) znalazło wieczny spoczynek na podmiejskim wzgórzu Golm. Taką właśnie masakrą zakończyło się niemieckie panowanie na Pomorzu Zachodnim, które trwało tu setki lat. Ironią dziejów jest, że jedynymi zabytkami miasta, które przetrwały i dziś mogą zainteresować turystę są pomniki tego samego militarysty pruskiego, który w ostatecznym rozrachunku był przyczyną wojennego zniszczenia – forty Twierdzy Świnoujście.

Wzniesione w połowie XIX wieku umocnienia ujścia rzeki Świny były w swoim czasie tak potężne i nowoczesne, że floty duńska czy francuska nawet nie próbowały ich atakować. Po okresie powojennego zaniedbania polscy miłośnicy fortyfikacji porządkują dzisiaj budowle i urządzają w nich muzea, które mieliśmy okazję zobaczyć w forcie Zachodnim na Uznamie i forcie Gerhard na Wolinie. Szczególnie ten drugi, umieszczony tuż nad rzeką, zrobił na nas wrażenie. Przewodnicy ubrani w stare pruskie mundury, strażnik przy bramie, przepustki i musztra dla zwiedzających trochę ożywiają ponure czerwone mury. Oryginalne są ubikacje i telefony forteczne, dające ułudę, że przeszłość odeszła dopiero przed chwilą. Nawet znaki na ceglach XIX-wiecznej wytwórni z niedalekiego Wkryujścia (wtedy i dziś niemieckie Uckermünde) są tak świeże i wyraźne, jakby nie

były odcisnięte 150 lat temu. Atrakcja jest na tyle duża, że na zabawę z poczęstunkiem do fortu przyjeżdżają nawet wycieczki niemieckich uczniów – gdybyż tak twierdze służyły zawsze do zabawy. Nieco surrealistycznie wyglądają olbrzymie promy pasażerskie przepływające Świną, jakby ponad fortocznym murem.

Postój przed latarnią w Niechorzu

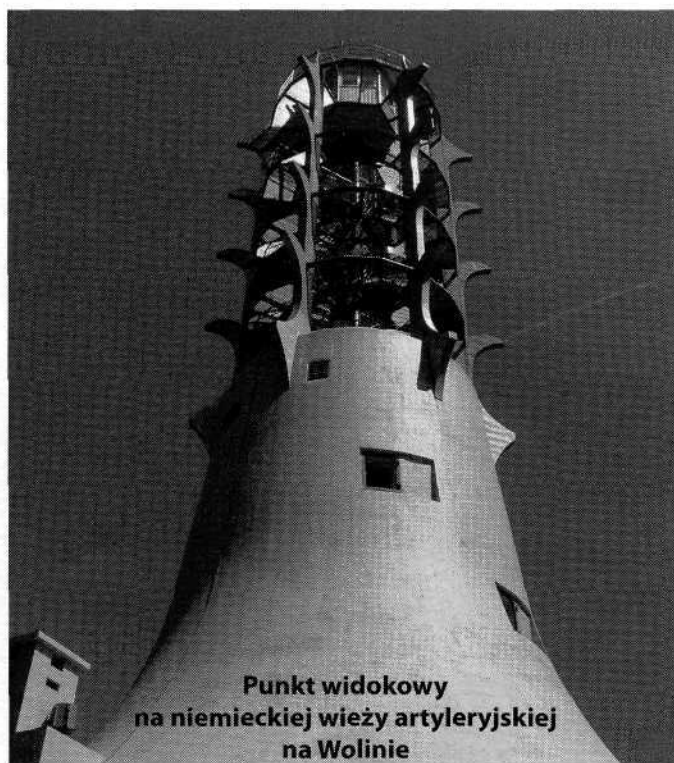


Dziś polska władza nad Świnoujściem jest wystarczająco potwierdzona szarymi kadłubami naszych okrętów zacumowanych w porcie wojennym, które można podziwiać z miejskiego promu przez Świnę. Czyż nie jest dziwnym trafem, że jest to 8 Floty (!) Obrony Wybrzeża. Tuż za miastem wjeżdżamy w piękne lasy Wolińskiego Parku Narodowego, ale wojenna historia nie daje nam o sobie zapomnieć. Wśród dorodnych sosen na wzgórzu zatrzymujemy się przy olbrzymim betonowym słupie wieży kierowania ogniem zbudowanej przez hitlerowców w 1935 roku, kiedy unowocześniano twierdzę w obawie przed wpłynięciem na Bałtyk Brytyjczyków. Zamiast pancernego dalmierza wieżę wieńczy teraz stalowa konstrukcja platformy widokowej. Oczywiście nie omieszkaliśmy tam wejść i dzięki świetnej pogodzie potwierdzić, że widok jest piękny i rozległy – wzrok sięga co najmniej 25 km od niemieckiego Ahlbeck i żurawi świnoujskiego portu, aż po wolińskie klify nad Międzyzdrojami.

W Międzyzdrojach mimo, że to nie sezon – tłumy. Nie zachwyca nas specjalnie aleja gwiazd z ławeczką

Gustawa Holoubka, więc czym prędzej uciekamy ku rysującym się na wschodzie wielkim klifom. Przed nami pierwsza poważna próba kondycyjna, wyjazd na wysokość 90 metrów do najwyższego wzniesienia polskiego wybrzeża, którego nie honor pominąć. Podjazd okazuje się na tyle trudny, aby nieprzyzwyczajony organizm dał o sobie znać – mój lewy czworogłowy łapie bolesny skurcz. Heroiczne pedałowanie jedną nogą kończy się oczywiście skurczem także po prawej stronie, więc z trudem siadam na poboczu i rozciągam obolałe mięśnie, kiedy wszyscy rajdowicze mijają mnie z pytającymi minami. Na szczęście dolegliwości ustępują i więcej się już nie powtórza, organizm zaczyna pracować po rajdowemu i pieczołowicie wypalać zimowy tłuszcz.

Ponownie ustala się stara rajdowa kolejność. Robert z Michałem na przedzie, Ala, ja i Andrzej w środku stawki, a Dorota z tyłu, nieustannie gubiąc się gdzieś po drodze. Widok z 93 metrowej Góry Gosań nie jest może rozległy, ale także ciekawy. Wielkie urwisko klifu ucieka w dół ku usłanej drzewami i głazami platformie abrazyjnej. Widok skutecznie wybija nam z głowy pomysł jechania dołem po plaży, który to wariant rozważaliśmy przed wyjazdem. Nawet na piechotę przejście tamtędy byłoby trudne a co dopiero z ciężko załadowanymi rowerami. Znacznie lepiej zjechać szosą w dół pomiędzy malownicze wolińskie jeziora i zjeść własnoręcznie przyrządzony posiłek w miłych „okolicznościach przyrody”. Tak posileni na ciele i duchu ruszamy z kopyta (pedału?) by do wieczora zjechać jak najdalej, to jest przynajmniej opuścić Wolin.



**Punkt widokowy
na niemieckiej wieży artyleryjskiej
na Wolinie**

Niecierpliwie wyglądamy miejsca nadającego się na nocleg, najlepiej pod namiotem. Wreszcie zajeżdżamy przed recepcję kempingu „Wiking” w Dziwnówku, gdzie z jakimś zdziwieniem konstatujemy, że panuje tu spokój, jest czysto, miło i kulturalnie, a cena nie jest wygórowana. Nasze późniejsze doświadczenia z nadbałtyckimi kempingami nie było już tak przyjemne, tym bardziej więc należy pochwalić ten jeden. Niepokój tego wieczoru wzbudziła tylko Dorota niezbyt uzasadnionym pomstowaniem na sprzedawcę w sklepie sportowym, który sprzedął jej niezłożony nowy namiot. Od czego jednak pomoc przyjaciół?

Przy kempingu plaża jest niezbyt zatłoczona ze względu na późną porę dnia. Nieco dalej w stronę Łukęcina z nadbrzeżnego lasu patrzą w morze strzelnice niemieckich schronów bojowych z czasów II-giej Wojny Światowej. Gęste zarośla zaświadczały, że nie są nadmiernie odwiedzane przez turystów, a jest ich tutaj wiele. To zresztą rzadko przywoływana w przewodnikach, a powszechna atrakcja bałtyckiego wybrzeża. Szkoda, że niszczone i rozpadają się pod ciosami jesiennych sztormów. To co, że nie nasze? Już od wielu lat nasze... to też Polska właśnie.

Atrakcje 15. południka

Pożegnawszy gościnny kemping porannymi ablucjami w sterylnej łazience i obfitym śniadaniem we wspaniale wyposażonej turystycznej kuchni, jak zwykle około 9-tej ruszyliśmy dalej na szlak omijając zatłoczone i nieciekawe Sarbinowo. Niestety mimo tłumy turystów nie można było pominąć następnego ważnego punktu polskiego wybrzeża, to jest Trzęsacza. Pewnie wszyscy pamiętacie to zdjęcie ze szkolnego podręcznika geografii ilustrujące abrazyjną działalność morskich fal, przedstawiające smętnie zawaloną gotyką ścianę na skraju piaszczystego urwiska. Niewielu pewnie nie wie, że „...kościół w Trzęsaczu został wybudowany w XIV wieku 2km od morza...”. Obecnie ruiny trzęsackiego kościoła nie wyglądają już tak malowniczo. Aby je uratować od nieuchronnego zawalenia umocniono długi fragment brzegu morskiego, ale przez to stał się on nienaturalnie równy, statyczny i bezpowrotnie utracił dawny, ulotny urok przemijania. Jak to często bywa „utrwalona ruina” przestaje być ruiną, można ją za to obejrzyć dokładnie z wysokiego mola zbudowanego z klifu wprost w morze.

W Trzęsaczu zaskoczyło nas co innego – polecane przez Alicję multimedialne muzeum 15-go południka. Nie bardzo wiem po co to bajdurzenie o 15-tym południku, bo każda miejscowość leży na jakimś południku a tak naprawdę 15-ty długości wschodniej przechodzi jakieś 300 m od miasteczka. Jest to po prostu muzeum historii Trzęsacza i jego kościoła. Instytucja ta demonstrowa dobitnie, że przy zastosowaniu nowoczesnej

techniki można ludzi zainteresować i naciągnąć na kasę nawet, jeśli nie ma się kompletnie żadnych eksponatów muzealnych do pokazania. Jest to tym bardziej godne podziwu, że dostanie się na prezentację w muzeum przy takim tłoku odwiedzających wymaga dużej cierpliwości.

Od Trzęsacza wykorzystaliśmy pieszy szlak turystyczny przebiegający po samej krawędzi klifu. Jazda nim wymagała sporej uwagi, bo oprócz możliwości zwałenia się w dół pozostawała jeszcze ewentualność kolizji z szalejącymi wzdłuż urwiska paralotniarzami. Wiejący od morza wicher uderza w stok i skręca w górę dając wspaniałe noszenie, można tutaj latać godzinami. Zaraz za Niechorzem, z jego wielkim budynkiem wspaniałej latarni morskiej, na zapiaszczony leśnej drodze zatrzymuje nas poważny problem. Olbrzymi pas nadmorskiego lasu zajmuje tu jednostka wojskowa Pogorzela. Wprawdzie lotnisko jest od dawna nieużytkowane, ale na zamkniętej bramie straszą zakazy wstępu a próba ominięcia jednostki po plaży zakończy się ewidentnie ugrzęźnięciem w piachach i wizytą wartownika.

Nie pozostaje nic innego, jak wrócić na szosę i jechać rozległym objazdem przez Trzebiatów, czego jak sądzę nie żałujemy. Trzebiatów (przedwojenny Treptow), nieco senny i bardzo prowincjonalny, zachował jeszcze nieco średniowiecznego nastroju. Na niewysokim wzgórzu w zakolu Regi, wśród prostopadłych uliczek tu i ówdzie pozostały ułamki murów miejskich z najlepiej zachowaną wieżą o mało romantycznej nazwie „Baszty Kaszanej”. Nad wszystkim góruje widoczny z daleka potężny ceglany korpus Kościoła Mariackiego z 90 metrową wieżą, podobno trzecią pod względem wysokości na całym Pomorzu po kościelnych wieżach w Szczecinie i Stargardzie. Budowle Trzebiatowa miały szczęście przetrwać w dobrym stanie, bo armia niemiecka opuściła miasto bez walki. Niestety mniej szczęścia mieli mieszkańcy, którzy przetrwali kilka tygodni sowieckich mordów, gwałtów i grabieży zanim po konferencji poczdamskiej wypchnęła ich stąd polska granica. Niemal cudem wydaje się przetrwanie w pięknym gotyckim wnętrzu fary, drewnianych epitafiów nagrobkowych, ołtarza, organów i renesansowych stall, a nawet ufundowanych przez cesarza Wilhelma I witraży i XIV-wiecznego dzwonu wieżowego. Miasto po wojnie zasiedlili repatrianci z kresów oraz Rusini i Ukraińcy wysiedleni z Chełmszczyzny i Podkarpacia. W dawnej miejskiej kaplicy św. Gertrudy wznoszą modły w obrządku bizantyjsko-ukraińskim potomkowie być może tych samych ludzi, na których opuszczonych siedliskach biwakowaliśmy na naszym rajdzie kilka lat temu nad Wiarem.

Andrzej, który w Trzebiatowie w błogiej młodości odbywał służbę wojskową, prowadzi nas od fary do

niewielkiej jadłodajni, gdzie raczymy się obfitym, tanim i przyzwoitym obiadem. Przy wyjeździe gubimy się, ale wreszcie trafiamy na drogę ku odległemu o kilkanaście kilometrów morzu. Zatrzymuję się przy szosie zainteresowany kilkunastoma starymi płytami nagrobnymi zgromadzonymi w nieładzie w przydrożnym zagajniku. Zanim uda mi się dogonić wycieczkę czytam i fotografuję srebrny napis na nowej steli z czarnego granitu: „Ku pamięci poległych na Pomorzu w wielu wojnach starej Europy obywateli: Polski, Rosji, Francji, Niemiec, Szwecji i innych krajów”. Czyjaś litościwa ręka zebrała te pamiątki w jednym miejscu i ocaliła od zapomnienia: na równi szwedzkich knechtów, polskich legionistów, jak i napoleońskich wiarusów. Pewnie mieszkańcy, którzy zadbali o cmentarzyk zyskaliby wdzięczność burmistrza von Parchima, który w monsturalnej kryzie, kapeluszu z perłami i spiczastą bródką godną królewskiego muszkietera ze swojego epitafium w trzebiatowskiej farze lustruje współczesnych.



Późnym popołudniem, przez nadmorskie lasy pełne zrujnowanych wojskowych budowli docieramy do Kołobrzegu, następnego pomorskiego miasta pełnego śladów historii naszej i nie naszej a nade wszystko dziejów wojen i przemocy, których kulminacją była ostatnia wojna. Obrona twierdzy Kolberg w 1807 roku w czasie wojen napoleońskich była dla Niemców tym, czym dla Polaków obrona Częstochowy – symbolem bohaterskiej i skutecznej obrony ostatniego bastionu wobec zalewu przeważających sił wroga. Było w niej wszystko co potrzebne do patriotycznej legendy. Był więc energiczny działający wbrew zniechęceniu innych oficjeli dowódca – major Gneisenau, była bohaterska walka o każdy ziemny blokhaus, było też bombardowanie artyleryjskie równające miasto z ziemią. Zdarzył się nawet ratujący twierdzą przed ostatecznym upadkiem cud – podpisanie pokoju w Tylży. Nie dziwi zatem pomysł Hitlera, aby wobec nie najlepszych notowań na frontach podnieść naród na duchu monumentalną superprodukcją

na temat tych wydarzeń. Film kosztował 8 milionów marek, ale kiedy wchodził na ekrany w 1945 roku pod Kołobrzeg już podeszli Rosjanie i Polacy a miastu ponownie zagrało swoją bohaterską rolę. Niestety efekt propagandowy filmu był raczej nikły, bo kiedy oglądali go umęczeni mieszkańcy bombardowanego Berlina i niemieccy żołnierze w otoczonemu przez Amerykanów La Rochelle (taśmę zrzucono im na spadochronie), kapral Niewidziajło właśnie maczał polską flagę w bałtyckich falach na kołobrzesckiej plaży.

W efekcie, kiedy korzystając z nowej ścieżki rowerowej przecinającej park uzdrowski omijamy zatłoczoną promenadę przy porcie nie możemy już liczyć, że zobaczymy pomnik Gneisenau, ale co najwyżej pomnik komandora Mieszkowskiego – pierwszego polskiego komendanta portu. Pośród nowych 4-gwiazdkowych hoteli Spa usiłujemy odnaleźć miejsce na nocleg dla nieco biedniejszych rowerowych wędrowców, by wreszcie wylądować na kempingu Baltic nr 78 (nie polecamy z powodu obsługi uprzejmej inaczej).

Przez ziemie gotlandzkiego pirata

Nowa nadbrzeżna ścieżka rowerowa kusi nas tak bardzo wygodną nawierzchnią, że uciekamy czym prędzej z niezbyt gościnnego miasta. Piękna pogoda, ciepło, spokojna przejażdżka nad brzegiem morza jest niemal idealna. Do czasu. Idyllę przerywa mostek z nieznanymi powodów przecięty w połowie, który zmusza nas do zejścia na plażę. Turlamy się z rowerami i sakwami w głębokim, miękkim piachu, pokonujemy częściowo w bród strumień, a na koniec wracamy na ścieżkę przez płotek. Znowu się człowiek zziątał, a jeszcze gorzej wyszły na tym rowery. Mokre zębaki i łańcuch oblepił piach, które wydają teraz dźwięki młynka do kawy. Serce przenika z każdym zgrzytem żal o stan zdrowia naszych dwukołowych przyjaciół.

Na naszej trasie zatrzymujemy się, podziwiając śliczne ultralekkie samolotki, które świadczą o pokojowym wykorzystaniu dawnego radzieckiego lotniska w Bagiczu. Szybko przemykamy przez Ustronie Morskie i kłuczając po słabo oznakowanym rowerowym szlaku nadbałtyckim docieramy do latarni morskiej w Gąskach. Tutaj bez słów zatrzymujemy się z Robertem. Przecież nie weszliśmy jeszcze na żadną latarnię morską, a to jedne z głównych atrakcji naszego wybrzeża. Wielki kompleks latarni morskiej Gąski pełni teraz, oprócz nautycznych i administracyjnych, liczne funkcje rozrywkowe: działa tutaj małe muzeum, liczne stragany z pamiątkami i dwa bary. Widok z latarni jest taki sobie, ale ciekawie jest zobaczyć swoje rowery i bagaże kilkadziesiąt metrów w dół. Patrząc wokół na budowle latarni nagle uświadamiam sobie, że niemal wszystkie „nasze” latarnie morskie wzniesione zostały „za Niemca” od XIX do

początku XX wieku – tak naprawdę za polskie można uznać tylko latarnie w Jastarni, Gdańsku/Port Północny i warunkowo na Helu. Skoro to ziemia tak mało Polska to właściwie czyja i co z granicami?

Na początku niewątpliwie słowiańską krainę usiłovali włączyć do swego państwa Piastowie. Najlepiej poszło to Bolesławowi Krzywoustemu, który Pomorzan zmusił nie tylko do złożenia Polsce hołdu, ale nawet do przyjęcia chrześcijaństwa. Ustanowieni przez niego lennicy Warcisław i Racibor stali się protoplastami przyrodzonych Panów Pomorza Zachodniego, czyli Gryfitów. Ale ten polski epizod był krótki i z osłabieniem piastowskiej monarchii Pomorze lawirowało między Polską, Krajami Cesarstwa Niemieckiego i Danią. Ponieważ Gryfitów chętnych na książąt pomorskich było wielu, dopiero pod koniec XV wieku za księcia Bogusława X udało się zjednoczyć cały szmat wybrzeża aż po wyspę Rugię w jednym poważnym państwie. Bogusław, rówieśnik i sojusznik króla Zygmunta Starego zyskał za to u potomnych przydomek Wielkiego, choć w polskich przewodnikach raczej się go tak nie nazywa. Ta rezerwa Polaków do książąt Pomorza jest o tyle uzasadniona, że w jego zachodniej części mówiono po niemiecku, a we wschodniej po... no, po jakiemu? Chyba po prostu po Pomorsku. Tak czy inaczej jedziemy już wiele kilometrów a do jakiegś choćby historycznej granicy wciąż daleko.



Wieczorny widok Bałtyku z przylądkiem Rozewie

Minęliśmy niepostrzeżenie Sarbinowo i Mielno by wjechać na pierwszą z serii mierzei oddzielających malownicze przymorskie jeziora. Pokonujemy Mierzeję Jamneńską. Prowadziła przez nią jeszcze wygodna droga, ale za Łazami rozmyła się szybko w lesie na wydmach Mierzei Bukowskiej, więc o przedzieraniu się dalej rowerami nie było mowy. Postanowiłem wykorzystać okazję pięknej pogody do kąpieli w Bałtyku, no bo jak być nad morzem i się w nim nie wykąpać? Niestety mój entuzjazm udzielił się tylko Andrzejowi. Reszta kolegów mimo naszych zachęt, zapewne zdegustowana

chłodnym północnym wiatrem zatrzymała się robić zdjęcia i podziwiać widoki z wydmy. Woda o dziwo nie była zimna, ale atrakcję kąpieli popsowały rozwścieczone komary, które rzuciły się na nas jak tylko wróciliśmy z wody do zostawionych w lesie rowerów.

Szerokim łukiem omijaliśmy od lądu jezioro Bukowo, wśród urozmaiconego krajobrazu pól, łąk i ukrytych wśród drzew cudownych XIV-wiecznych, gotyckich kościółków, jak ten w Iwęcinnie, gdzie trafiliśmy na uroczystość ślubną z nieortodoksyjnym kazaniem, czy drugi w Bukowie. Dla samych kościółków miłośnicy zabytków mogą urządzić sobie wycieczkę po Środkowym Pomorzu, bo jest ich tutaj bezliku. Ta ceglana architektura nijak nie pasuje do sztywnie rozumianej polskości, bo powstawała dla zbawienia dusz pomorskich książąt i niemieckich osadników. A propos pomorskich książąt, to właśnie tego dnia wieczorem dotarliśmy do Darłowa, gdzie urodził się i rezydował najśłynniejszy z nich – Eryk Pomorski. Zamek Eryka z muzeum był już zamknięty, ale klucząc po starym mieście zatrzymaliśmy się na zakupy w pobliżu Kościoła Mariackiego i przy okazji przerwy w wieczornym nabożeństwie zbliżyliśmy się do książęcych sarkofagów. Ten jedyny z pomorskich Gryfitów sięgnął po królewską koronę i to od razu trzech królestw: Danii, Szwecji i Norwegii, jako, że usynowiła go ciotka, duńska królowa Małgorzata. Nie jest to fakt znany w Polsce, bo akurat w tym czasie Polacy pod wodzą Jagiełły mieli na głowie zmagania z Krzyżakami.

Poddani króla nie byli zbyt wierni. Kiedy uprawiając zbyt ambitną politykę zrujnował podatkami i łożami gospodarkę swoich królestw, opuścili go bez skrupulów. Po nieudanym małżeństwie z córką króla angielskiego Filippą i wygnaniu, pędził żywot pirackiego herszta na Gotlandii, zanim wreszcie ustatkował się i wrócił do Darłowa wiodąc szczęśliwe i spokojne życie z dwórką swojej byłej żony. Czyż nie jest to materiał na wspaniały epicki film? Może po tych światowych przygodach Eryka pozostała w grodzie nad Wieprzą przedziwna sześcioboczna gotycka kaplica św. Gertrudy, z gwiazdzystym sklepieniem, której okna przypominają okrętowe bulaje?

Nie przyniosło nam szczęścia odwiedzenie św. Gertrudy, bo zaraz za Darłowem pękła nam dętka. Tym razem ofiarą awarii padł Michał. Dochodzą nas też telefoniczne informacje od Prezesa, który z silną ekipą rodzinną prze naprzód i wciąż jeszcze ma nadzieję, że go dogonimy.

– Tylko nie pchajcie się szlakiem rowerowym wokół Jeziora Kopań – to bajoro, nie szlak.

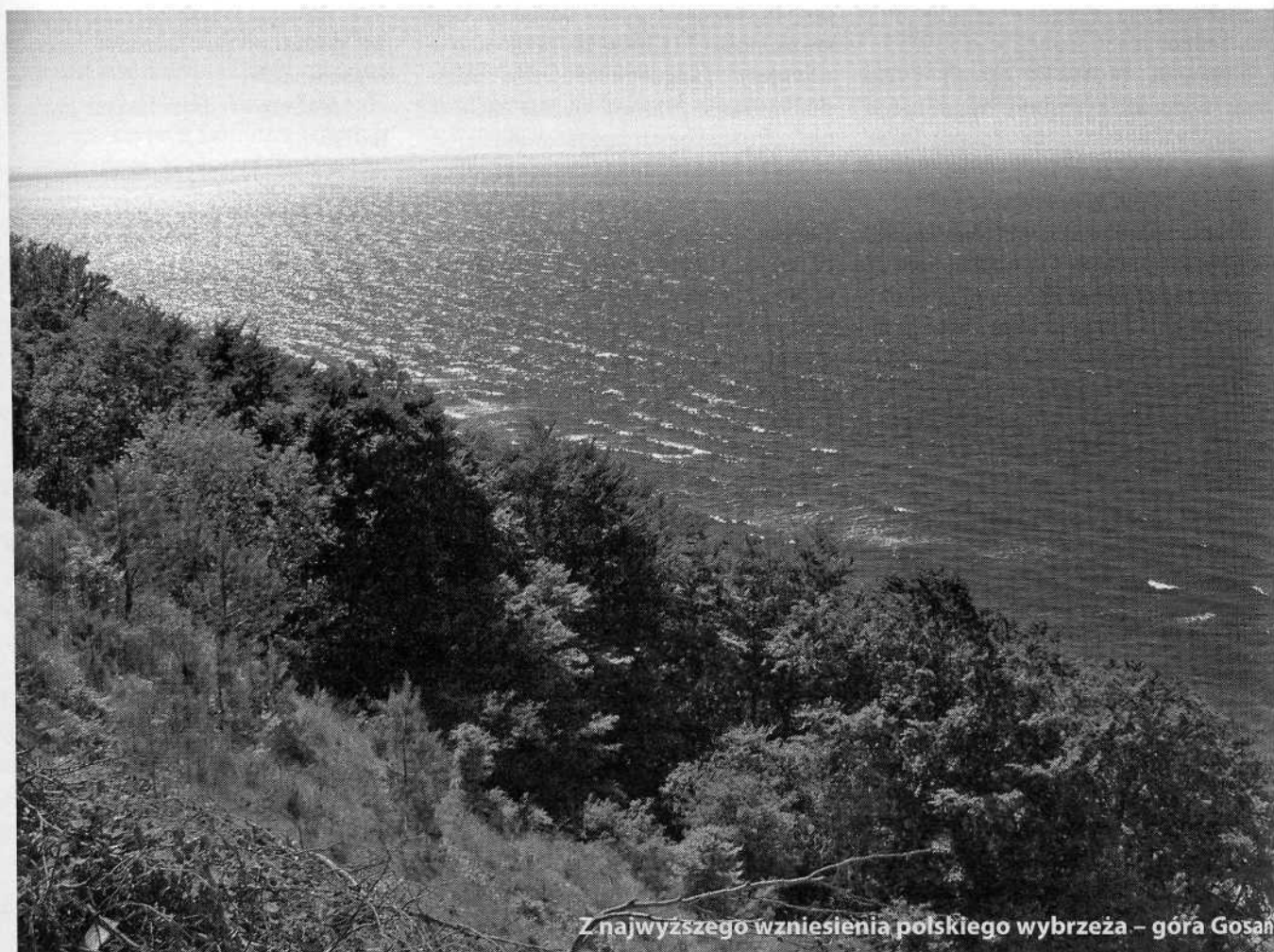
Prezes karze, skarbnik musi. Omijamy Kopań szerokim łukiem i zmęczeni znowu docieramy do Bałtyku w niewielkiej wsi Wicie, gdzie rozbijamy namioty na całkiem przyzwoitym polu namiotowym.

C.D.N.

IV edycja rajdu rowerowego
„Dookoła Polski z MKT”

Morze, nasze morze

(cz. II)



Wydmy, sosny i zaginiony lud

Wybrzeże Bałtyku od Mielna do Łeby wydaje się jedną wielką, równą plażą, ale nie zawsze tak było. Jeszcze 10 tysięcy lat temu morze wdzierało się tu w liczne polodowcowe zatoki, ale cierpliwą praca zachodniego wiatru i prądów morskich zakłajstrowała wszystkie nierówności mierzejami piachu i kamieni. Na nieszczęście współczesnych rowerzystów po dawnych zatokach pozostały jeziora, mokradła i beznadziejne szlaki rowerowe. No i niekończące się tereny wojskowe, które ciągle musimy omijać skomplikowanymi objazdami.

DR N. MED. PIOTR PAPRZYCKI
INSTYTUT MEDYCyny WSI

Następne przymorskie jezioro z bezludną mierzeją na naszej drodze to Gardno. Polecam wszystkim miłośnikom rowerowej jazdy terenowej wspaniały szlak przez nią wiodący. Pokrętna zapiaszczona ścieżka kluczy między drzewami, koła regularnie grzęzną w piachu, a sakwy i kierownice obijają o pnie. Nieco to męczące, ale po prawej stronie mamy wielkie jezioro, za którym widać 111-metrowe wzgórze Rowokół, już w enklawie Słowińskiego Parku Narodowego. Po lewej stronie ciągną się częściowo zalesione niskimi sosnami pola wydmy, gdzie turystów dużo mniej niż na następnej Mierzei Łebskiej. Równie piękna, choć bardziej zalesiona jest Mierzeja Sarbska położona jeszcze dalej na wschód, tam walkę ruchomych wydmy z opierającymi się sosnami widać tuż przy samym szlaku. Teraz rozumiemy już skąd się bierze żółty nalot oblepiający rowery – to roznoszony przez wiatr sosnowy pyłek. Alą przeklina kopny piach, w którym raz za razem się kotłujemy, ale z drugiej strony trafia

się okazja by wypróbowała swój niemiecki – na trasie w okolicy latarni Stilo spotykamy jedynych na szlaku podobnych zapaleńców z Niemiec. Krótka rozmowa wyjaśnia, że jadą jak my ze Świnoujścia, kilka zdawkowych zdań po niemiecku i angielsku, uśmiechy, pożegnanie i jak zwykle jedziemy dalej.

Prezes donosi, że przedarł się z wielkim trudem dookoła jeziora Łebsko przez Kluki. Na mapie wyraźny szlak rowerowy, ale wokół podejrzanego niebieskiego kreski kanałów. Skoro jednak Prezes przejechał z rodziną no to tym bardziej my, tylko że przedzieranie się przez wydmy już zabrało nam sporo dnia. Do Kluk zajeżdżamy wieczorem i jakąś godzinę przed zmierzchem podejmujemy jeszcze heroiczną, lecz nieśmiałą próbę przedarcia się dalej. Przecinające rozmokniętą łąkę strumienie szybko jednak sprawiają, że poddajemy się. Pewnie można by próbować rowery przenosić jak przez rozbabrany przez budowlańców kanał w Ustce, gdzie skończyłem po kolana w błoku, jako torujący drogę saper wyprawy, ale robi się późno. Tak przychodzi zanoć w Klukach i spędzić jeden z najciekawszych biwaków na naszej trasie.

Gościny udziela nam pewien towarzyski gospodarz. Jest to spragniony pogawędkę właściciel pięknego gąsiora, kota, jadawicie liliowego dresu i rozległego trawistego podwórza, który w skansenie słowińskim dorabia produkując tradycyjne drewniane „buty” dla koni. Nasze namioty rozbijamy na podwórzu w cieniu porośniętej sosnami wydmy, która tysiąc lat temu wraz z towarzyszkami przesypywała się nad brzegiem Bałtyku. Najpierw robimy sobie porządną kolację, potem odpędzamy komary dymem z ogniska, a gospodarz długo jeszcze zajmuje nas swoim monologiem. Okazuje się, że musimy wysłuchiwać żalów jak to: roboty ni ma, zasiłku za mało, a najlepiej to panie za komuny było.

– Za komuny? Za PGR-u, to proszę was, traktorzyści se własną stację benzynową robili, tak paliwo szło na lewo. A ten, co tu jedzie, jakby chciał co od was nie dawajcie. Cholerny leń. Jak ktoś chce zarobić to sobie prace znajdzie. Ja potrafię za ślusarza i dachy trzciną kryję, trza tylko chcieć.

I tak snuje opowieść o swoim życiu, od służby wojskowej po szkołę rzemieślniczą, pracę w „pegeerze”, a nam coraz to bardziej kleją się

oczy. Nie wiem, czy bardziej ze zmęczenia, czy też od podłego piwskiego, jakim z gestem nasz dobroczyńca raczy nas przy ognisku.

– A z miejscowych, to został tu ktokolwiek?

– Nikt. Wszyscy wyjechali. Teraz tylko jest taka jedna młoda, co wróciła, w skansenie pracuje, ale tylko ta jedna.

Zanotowuję w myślach odpowiedź i jako jeden z ostatnich znikam ziewając w namiocie. Jeszcze długo myślę nad tym, jak to dziwnie plecie się na naszych rowerowych trasach ironiczna historia i rzeczywistość.



Bagno zwyczajne – roślina nadbałtyckiej wiosny

W 1856 roku zapomniany dziś rosyjski etnograf Aleksandr Fiodorowicz Hilferding poszukując krewnych Rosjan w Prusach „odkrył” na ziemiach wokół Jamna i Gardna, pośród wydmy i lasów, ludzi mówiących po słowiańsku i nazwał ich Słowińcami. Sami nigdy się tak nie nazywali i zwykle uważali za takich Łebskich Kaszubów, co stanowi prawdopodobnie ludowy synonim słowa Pomorzanie. Już w czasach Hilferdinga, Słowińcy byli izolowanymi aborygenami swojego narodu w morzu niemczyzny. Żywioł germański napierał z zachodu od wczesnego średniowiecza, a sprzyjała mu polityka książąt pomorskich, którzy sami od XIV wieku przestali mówić po kaszubsku. O losie języka pomorskiego na Pomorzu zadecydowała ostatecznie polityka. Bogusław XIV – ostatni książę Kaszubów, zanim zmarł w 1637 roku bez męskiego potomka, musiał przyglądać się jak jego państewko w czasie wojny 30-letniej rozdiera Szwecja i Brandenburgia. Państwo prusko-brandenburskie nie patyczkowało się ze słowiańskim językiem na swoim absolutnie oświeconym terytorium. Kiedy nawet modlić się nakazano w XVIII wieku po niemiecku, Słowińcy stali się ostatnią enklawą kaszubską na zachodnim Pomorzu.

Kiedy wjeżdżaliśmy do Kluk zatrzymał nas w lesie mały cmentarzyk, gdzie spoczywają ostatni Słowińcy. Żeliwne nagrobki z niemieckimi napisami niczym oprócz nazwisk nie różnią się od innych, jakie oglądaliśmy na dawnym niemieckim Pomorzu, Warmii czy Mazurach. Na środku wielki kamienny pomnik postawiono mieszkańcom Kluk, którzy w czasie Wielkiej Wojny oddali życie za Kaisera i Vaterland. Nie pomogło to Słowińcom za faszystów, dla których byli oni obrzydliwymi innoplemieńcami, jakich czym prędzej należało przekształcić w Niemców. Niestety po ostatniej wojnie nie było lepiej. Słowińców potraktowano jak Niemców i wyrwano z rodzinnych wydmy, sosen i szuwarów do NRD-owskiej Meklemburgii, gdzie do dziś prawie nie zostało z ich języka i kultury. Pozostałych tylko dzięki opamiętaniu władz w latach 60-tych mieszkańców Kluk, skuteczniej niż Hitler i Stalin wyssała do Niemiec z Polski epoka gierkowska.

Układając się do snu myślę zatem nad paradoksem, że słowińskie obyczaje musi teraz w skansenie słowińskim demonstrować niemieckim turystom o słowińskich korzeniach potomek przesiedleńców z Małopolski.

Następny ranek przywitał nas wzmagającym się wiatrem i ciemnymi, burzowymi chmurami. Zanim dotarliśmy do parkingu SPN, aby wejść na najslawniejszą w Polsce Wydmy Czołpińską łało już jak z cebra przeganiając pod daszki tłumy szkolnych wycieczek. Załamanie pogody zwykle jest nudne i stanowić będzie przerwę w narracji. Z dalszej mokrej tułaczki godny uwagi był tylko dość smutny obraz szczątków kościoła w Starej Łe-



Kwitnące sosny na wydmych Mierzei Gardzieńskiej

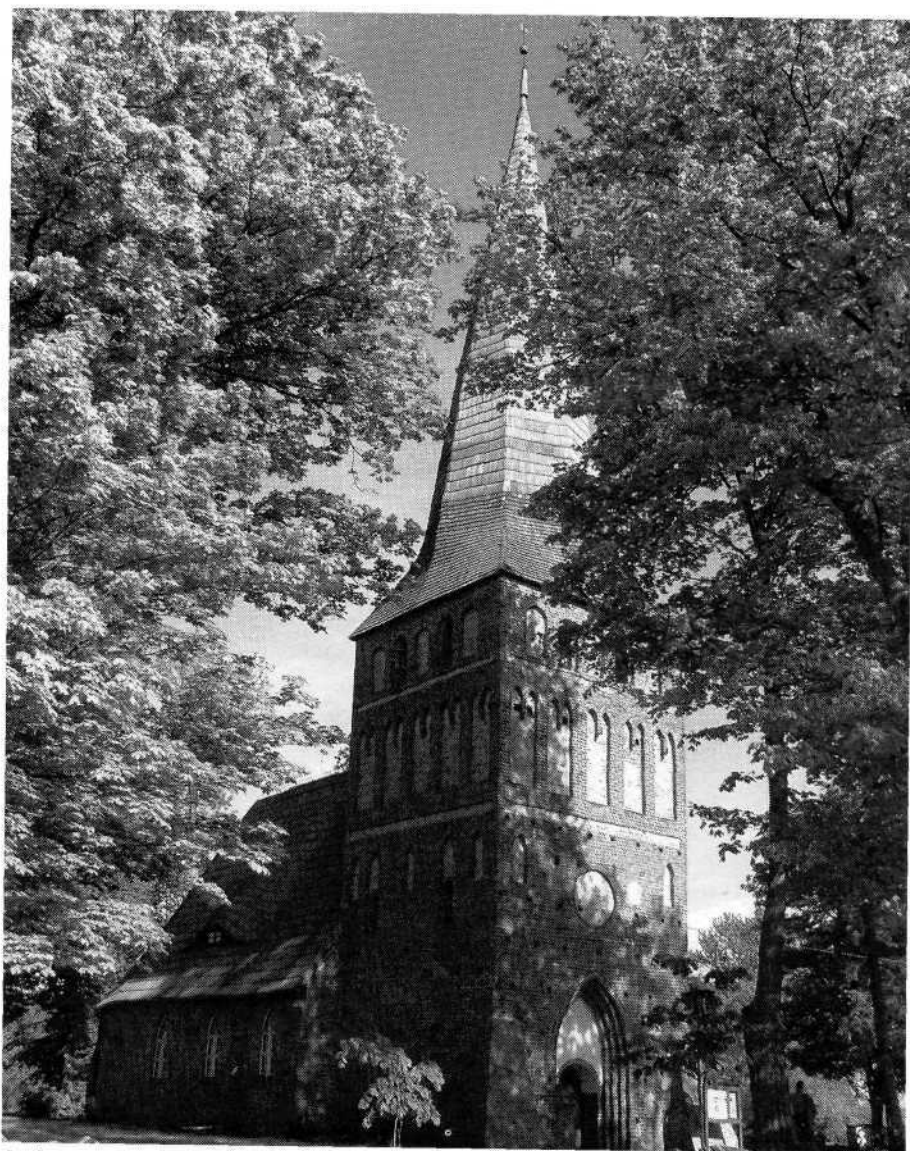
bie pochłoniętego przez wydmy i zadzierzasty obelisk sowieckich wyzwolicieli zwieńczony ciągle jeszcze czerwoną gwiazdą w Smołdzinie. Należy także odnotować zakończoną, na szczęście bezurazowo, próbę podcze-

pienia się Doroty do wózków turystycznych na łebskim deptaku. Żeby osłodzić sobie smutne pożegnanie z Zachodnim Pomorzem nie zajęliśmy zbyt daleko. Susząc się na kwaterze agroturystycznej w miejscowości Żarnowskie uczciliśmy urodziny Roberta. Było miło, sucho i ciepło, ale tym sposobem ostatecznie pożegnaliśmy się z perspektywą dogonienia Prezesa.

Wiatr od morza

Kiedy tylko wydobyliśmy się spośród lasów Sarbskiej Mierzei, pogoda zaraz się poprawiła. Wiał nadal zimny północno-zachodni wiatr od Bałtyku, ale błękitne niebo coraz częściej zaczęło wyglądać zza chmur. Tak wjechaliśmy na pagórkowatą i pełną małych jeziorok Ziemie Bytowską, którą król Kazimierz Jagiellończyk, po wydarciu Krzyżakom wschodniej części Pomorza, oddał, jako lenno korony, pomorskim książętom. Zbliżaliśmy się tym samym do pierwszej historycznej granicy na Pomorzu, która najpierw przez 300 lat oddzielała Województwo Pomorskie I-szej Rzeczypospolitej od Księstwa Pomorskiego, a potem od ziem państwa Prusko-Brandenburskiego.

Kiedy po I-szej Wojnie Światowej Polska się odrodziła, udało się na pokonanych Niemcach wymusić granicę zbliżoną do historycznej. Od Bałtyku przebiegała ona przez nadmorskie Bagna Wierzhucińskie, rozdzielające niemiecki Wittenberg (dziś Białagóra) od polskich Dębek. Dalej na południe omijała od zachodu Jeziora Żarnowieckie z polską enklawą w postaci wsi Nadole i biegła dalej na południe wzdłuż rzeki Redy. Nie ulega wątpliwości, że to dzięki długiej polskiej administracji miejscowi Kaszubi do dziś zachowali język i poczucie odrębności. Nie przypadkowo zachodnia granica dzisiejszych Ka-

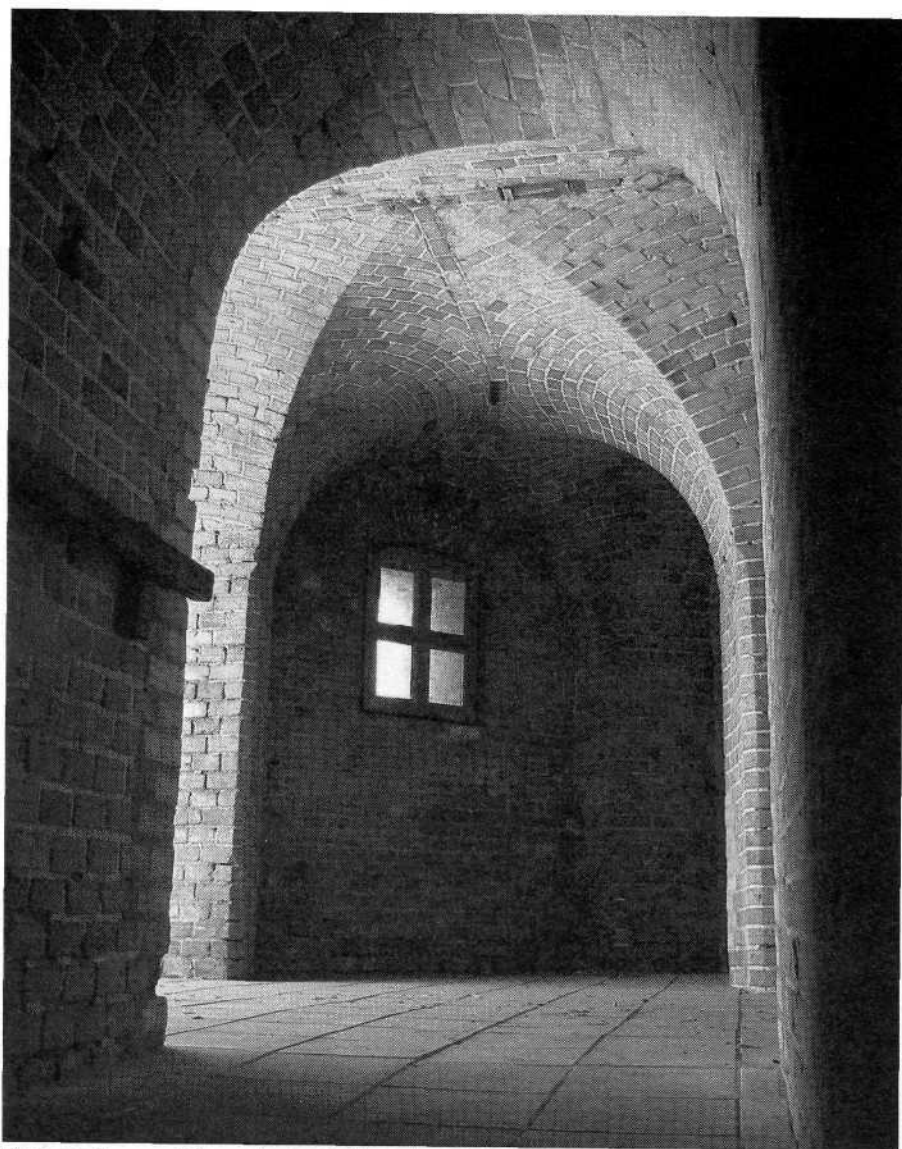


Jeden z pięknych pomorskich kościołków w Iwicznej

szub to właśnie dawna zachodnia granica Polski. Co by nie powiedzieli kaszubszy separatyści, tylko dzięki temu możemy o dziś w ogóle mówić o Kaszubach.

Żeby nieco urozmaicić monotonną przymorską wędrówkę odwiedzinami pobliskiego Jeziora Żarnowieckiego, zrobiliśmy zwrot i popedałowaliśmy na południe. Ze szczytu wieży widokowej kompleksu „Kaszubskie Oko” wzniesionej dzięki wsparciu UE w miejscowości Gniewino można zobaczyć pięknie zalesione stoki polodowcowej rynny Jeziora Żarnowieckiego. Wybudowana niedawno nowa szosa do Czymanowa daje wśród lasów

wspaniałą, długi zjazd do samego brzegu jeziora. Przy okazji można podziwiać w jednym miejscu sukces i klęskę polskiej energetyki. Za miłościwie panującego Edwarda Wielkiego, w ramach zużywania zachodnich kredytów, ten piękny pejzaż postanowiono jeszcze „upiększyć” zbudowaniem elektrowni szczytowo-pompowej. Cztery gigantyczne rury odwracalnych zespołów generatorowych i wybudowany na krawędzi rynny jeziornej owalny zbiornik górny trwale zmieniły kaszubski krajobraz, ale są nawet ciekawe. Znacznie gorzej prezentuje się niedokończone dzieło Wojciecha Przegranego, stojące po drugiej



Kazamaty pruskiego fortu Gehrard w Świnoujściu

stronie jeziora na miejscu wysiedlonej wsi Kartoszyń. Z dala omijamy zespół szarych betonowych bloków tuż nad brzegiem jeziora, które są pozostałością po polskim śnie o energetyce jądrowej. W wielkich ruinach, gdzie utopiono może nawet 2 miliardy złotych działa dzisiaj kilkanaście różnych zakładów wykorzystujących tak zwaną Specjalną Strefę Ekonomiczną, ale budowle robią wrażenie ponure i wymarłe.

Wracamy do morza w Dębkach i od niezbyt ciekawej Karwi zmuszeni jesteśmy jechać dość ruchliwą szosą prowadzącą wybrzeżem w stronę Trójmiasta. Szczęśliwie miejscami szerokie pobocze i chod-

niki pełnią rolę ścieżek rowerowych. Teren staje się coraz bardziej urozmaicony i po raz pierwszy od czasu przeprawy przez Wolin zaczynają się nam dawać we znaki podjazdy. Do samego morza dochodzą tu rozległe morenowe wysoczyzny zwane kępami, poprzecinane głębokimi, krętymi jarami.

Przez czasy zaborów sami Polacy zapomnieli o tym, że tu była Polska i musiał ich o tym uświadomić Stefan Żeromski swoją trylogią morską z najsłynniejszym „Wiatrem od morza”. II Rzeczypospolita starała się nadrobić stracony czas i stąd chyba te wszystkie „zaślubiny z morzem”, które potem tak chętnie wykorzy-

stywała propaganda komunistyczna. Pod latarnią morską, która stoi na gęsto zalesionym klifie Rozewia zachował się stary pomniczek „Na pamiątkę objęcia Pomorza przez Wojsko Polskie 10 II 1920”. Nieco dalej okazały obelisk z orłem przypominającym, że tu właśnie w Lisim Jarze wylądował z armią Zygmunt III Waza po swojej niefortunnej wyprawie po tron szwedzki.

Zaferowani szukaniem noclegu zapominamy o odwiedzeniu najdalej na północ wysuniętego punktu Rzeczypospolitej Polskiej. Na szczęście nie ominęła go silna grupa pod wezwaniem Prezesa. I nie jest to, jak twierdzą wszystkie szkolne podręczniki przylądek Rozewie, ale fragment plaży poniżej nadmorskiego bulwaru w Jastrzębiej Górze. Od 2001 roku oznacza to miejsce pamiątkowy głaz zwany Gwiazdą Północy – jest to dokładnie 54°50'08.80957" szerokości geograficznej północnej.

Za wskazówkami Pawła docieramy na noc do malowniczego kempingu „Klif” w Chłapowie, gdzie nasze namioty stają niemal na samej urwistej nadmorskiej krawędzi. Wieczór jest piękny, bo rozchmurzyło się całkowicie i chociaż robi się zimno to wiatr wraz z zapadającym zmierzchem powoli ustaje. Chyba wszyscy odczuwamy ten nastrój i wpatrzeni, jak zahipnotyzowani, w migające światło rozewskiej latarni strzelamy migawkami aparatów.

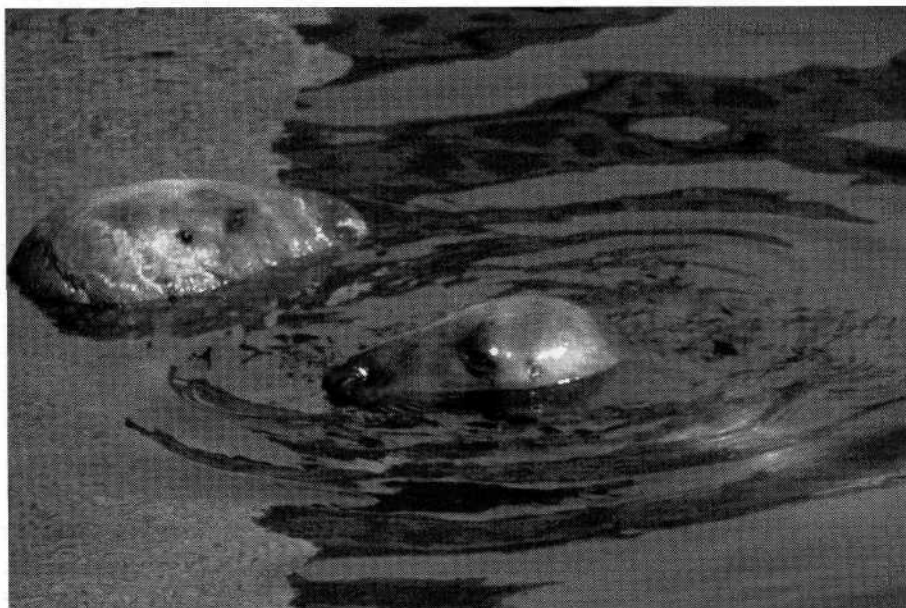
Następny dzień przyniósł znowu słońce i przywitanie się z Mierzeją Helską. Władysławowo, gdzie zakończył w tym roku trasę Prezes pozostaje niepostrzeżenie za nami. Teraz przez 34 kilometry jedziemy całkiem niezłą ścieżką rowerową, a towarzyszy nam z lewej strony ruchliwa szosa i linia kolejowa aż do samego końca tego dziwnego tworu wiatru i prądów morskich, który właściwie jest rzędem częściowo zalesionych piaskowych wydm. Przed wojną Mierzeja Helska sta-

nowiła ponad połowę długości (120 km) polskiego wybrzeża i stanowiła ważny strategicznie obszar wobec niemieckiego Gdańska. Była więc istotnym punktem w planie obrony kraju na wypadek wojny. Razem z Puckiem i Gdynią, Hel, który zamieniono w rejon umocniony były bazami naszej marynarki wojennej. Miała ona zabezpieczyć dla polskiej floty handlowej trasy morskie. Te ambitne plany skutkujące zakupem oceanicznych okrętów podwodnych i potężnych niszczycieli przeznaczonych do ochrony konwojów nijak miały się do skromności naszego brzegu i słabych marynistycznych tradycji. Złośliwi krytycy twierdzą, że wiązało się to z kolonialnymi pomysłami Sanacji – potencjalną polską kolonię na Madagaskarze trzeba było czymś obronić.

Niezależnie od przyczyn, kiedy przyszło bronić polskiego morza w 1939 roku dumne niszczyciele i okręty podwodne musiały uciekać na zachód, a następnie zostały internowane lub spoczęły na dnie. Zupełnie inaczej spisał się Rejon Umocniony Hel. Ślady tej obrony można teraz oglądać już w połowie półwyspu. Kilometr za symboliczną górką Libek, w najwyższym miejscu mierzei, z której można między drzewami wypatrzeć równocześnie Zatokę Pucką i Bałtyk, w lesie ukrywają się polskie schrony bojowe Ośrodka Oporu Jastarnia, dobrze do dziś utrzymane dzięki staraniom miłośników Helu. Co ciekawe schrony te nie brały bezpośredniego udziału w walce, bo przeciwnika zatrzymano na pozycjach wysuniętych. Najbardziej malowniczo prezentuje się na morskiej plaży „Sęp”, częściowo zasypywany przez piach. Nie omieszkaliśmy też odwiedzić zrekonstruowanego wnętrza schronu „Sabała”, który za niewielką opłatą można oglądać samodzielnie i przez chwilę poczuć się jak wrzesniowy wojak na ciasnej pryczy lub z karabinem Browning przy strzel-

nicy. Tylko Ala nie była zainteresowana zwiedzaniem bunkrów, dzięki czemu mogliśmy liczyć na przysadzony przez nią obiad.

zadecydował o poddaniu się. Dowódcą obrony wybrzeża i całej floty był kontradmirał, którego Polacy znają jako Józefa Unruga. Dzięki



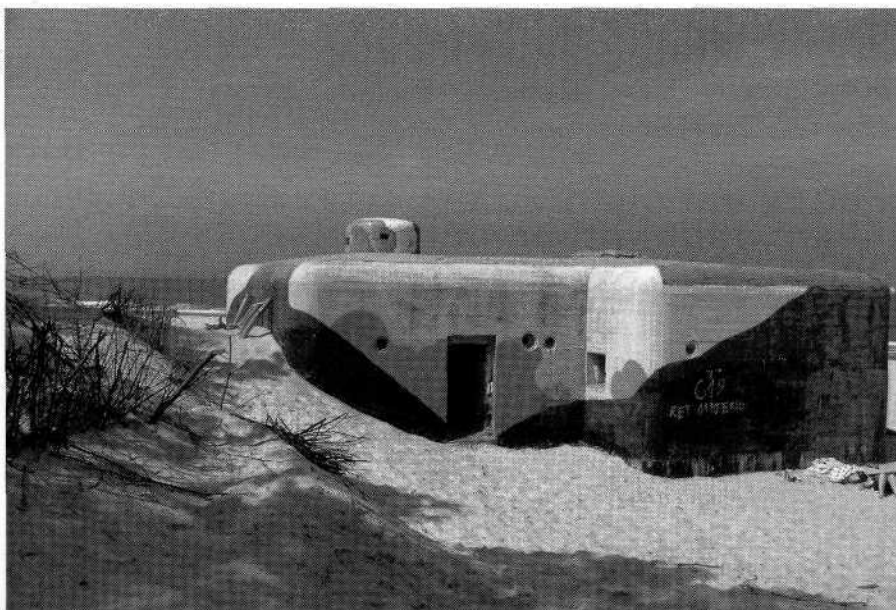
Foki w helskim fokarium

Po zdobyciu Helu przez Niemców, postanowili oni zbudować tu morską twierdzę do obrony przed Brytyjczykami. W tym celu zainstalowali w końcowej części półwyspu baterię gigantycznych dział morskich „Schleswig-Holstein”. Przypominał nam się Wolin, bo „Schleswig-Holstein” bardzo przypomina świnoujską baterię „Göeben”. Podobnie jak tam dawną wieżę kierowania ogniem wykorzystują dzisiaj ekspozycje muzealne i punkt widokowy. W samej baterii godnej filmu „Działa Navarony” wyrokiem historii mieści się Muzeum (polskiej) Obrony Wybrzeża Rejonu Umocnionego Hel, które serdecznie polecam wszystkim turystom.

Można długo pisać o bohaterskiej obronie Helu, ale miało być o paradoksach naszych granic, więc kojarzy mi się tu jedna historia wręcz nieprawdopodobna. Kiedy po miesiącu obrony, stała się ona zupełnie niecelowa, a miejscowi Kaszubi zaczęli po prostu buntować się jak to cywile, dowódca obrony ostatecznie

naszemu rajdowi dowiedziałem się, że polski bohater narodowy nazywał się od dziecka Josef Michael Hubert von Unruh i był Niemcem. Nie jakimś tam Niemcem polskiego pochodzenia, ale po prostu Niemcem i to w najgorszym dla Polaków wydaniu typowego pruskiego sztywnego militarysty bez poczucia humoru. Posiadany przez niego order Krzyża Żelaznego pierwszej klasy zaświadcza oddaną służbę dla Cesarstwa Niemieckiego do końca I-szej Wojny Światowej (był dowódcą U-boota i zatapiał alianckie okręty!!!). Reasumując, obronę Helu zawdzięczamy między innymi poczuciu obowiązku i „honorowi niemieckiego oficera”, który swoją postawę odczuwał tak bezkompromisowo, że w obozie jenieckim z własną rodziną rozmawiał przez tłumacza bo jak mówił po 1 września zapomniał niemieckiego.

Za Jastarnią wycieczka nam się nieco pogubiła, ale starczyło nam jeszcze czasu na spacer po Helu. Oprócz portu udało się też odwie-



Malownicza sylwetka schronu Sęp na plaży Jastarni

dzień najważniejszą obecnie atrakcją turystyczną miasteczka czyli fokarium. Jeśli ktoś spodziewa się tam występów w rodzaju zachodnich delfinariów to będzie zawiedziony, mętna woda nie pozwala zbyt wiele zobaczyć, a na wyjście fok na brzeg trzeba długo i cierpliwie czekać. Ale gdyby nie ta instytucja, foka bałtycka nie miałyby najmniejszych szans przetrwać na zdeptanym i zabudowywanym polskim wybrzeżu.

Ten dzień skończyliśmy na kolejnym kempingu opodal Pomnika Bohaterów Obrony Helu. Gości nie było zbyt wielu, ale bywa, że nieliczni dają znać o sobie za cały tłum. Tak też było tej nocy. Grupa ogolonych osobników ich kobiet, pociech i psów, która przyjechała zapewne oddawać się tradycyjnej polskiej rozrywce to jest picie i grillowaniu, urządziła w nocy karczemną i donośną awanturę obsłudze kempingu. Zapytacie, o co? O to, że nie mogli się zrealizować z powodu... gwałtownej ulewy.

Go West!

I tak niepostrzeżenie dotarliśmy do końca IV edycji naszego rajdu,

ale zanim nasza drużyna stanęła znowu na kei fromborskiego portu, gdzie rok temu kończyliśmy edycję mazurską, czekało nas jeszcze kilka przygód. Najpierw przyszło załadować nasze rowery na statek Żeglugi Gdańskiej i popłynąć przez zatokę ku gdańskiej starówce. Oczywiście była i twierdza Wisłoujście i Westerplatte i wielkie statki stojące w Gdańskiej Stoczni Remontowej, Żuraw, Długi Targ i Fontanna Neptuna. Było też niestety rozczarowanie, że tramwaj wodny do Krynicy Morskiej poza sezonem nie pływa...

Zatem pozostało nam przedziernie się przez zatłoczone miasto a potem ruchliwą krajową siódmką między sznurem samochodów. Ale ma to i swoje dobre strony – w supermarkecie naprzeciwko Gdańskiej Petrochemii wyposażyliśmy się w dodatkowe espandory do mocowania bagażu, których ewidentnie zabrakło Dorocie. Niewątpliwym urozmaicheniem było także obejrzenie jednego z ostatnich w Polsce mostów pontonowych przerzuconego na Wyspę Sobieszewską. Szczególnie zabawnie wyglądają na mim kiwające się w górę i w dół wielkie miejskie autobusy przegubowe. Chyba z perspektywy pasażerów

i kierowców nie jest to już tak zabawne, ale kiedy siedząc w kabinie wysokiego tira czy autobusu kiwamy się tak na prawo i lewo to pewnie włos się jeży.

Wyspy mają to do siebie, że są otoczone wodą. W przypadku Wyspy Sobieszewskiej wodą są odnogi delty wiślanej: Wisła Martwa i Śmiała od zachodu a od wschodu tzw. Przekop oddziela Wyspę Sobieszewską od stałego lądu. Aby zatem wydostać się rowerem z Wyspy Sobieszewskiej, pedałujemy 10 km na wschód ku widocznej na mapie przeprawie promowej. Co do przepraw promowych mamy już niejaki doświadczenie. Bywają nieczynne. Tak też okazuje się w tym przypadku. Stoimy bezradnie nad szosą, która na długości 50 metrów staje się drogą podwodną i przewracamy mapę w poszukiwaniu najbliższego objazdu. Jakby nie mierzyć w plecy mamy 20 km! Możemy tylko pomstować, że mimo iż prom nie działa już drugi miesiąc, nikt nie raczył zaznaczyć tego na drogowkach, albo też obarczyć odpowiedzialnością nadprezydenta von Gosslera, który na osobisty, telegraficzny i niewątpliwie złośliwy rozkaz cesarza w 1895 roku uroczystie otworzył Wiśle nowe koryto do morza akurat na naszej trasie.

Po nadłożeniu drogi na most w Kiezmorku jedziemy już bez przeszkód. Co więcej, zbliżający się finisz rajdu zdaje się dodawać nam skrzydeł. Nawet Dorota, która dotąd ciągnęła się w czasowo odpadającym ogonku doznaje nagłego przyływu energii i na czele kolumny pędzi z prędkością przelotową 25 km/h aż do samej Krynicy Morskiej. Krynica? Kto na Boga dał rybackiej wsi na piaszczystej bałtyckiej mierzei ruską nazwę źródła? Czy naprawdę były gorsze? Zajeżdżamy na leśne pole namiotowe, pilnowane przez podejrzanego osobnika w białym szlafroku, zapada już zmierzch. Je-

steśmy jednak tak nabuzowani energią, że postanawiamy (przynaję nie wszyscy) jechać dalej jeszcze kilkanaście kilometrów przez wspaniałą wydmowy las, do rosyjskiej granicy przecinającej Mierzę Wiślaną we wsi Piaski. Ciemną nocą, po przygodach z bezczelnymi dzikami, które dziś stanowią najbardziej uciążliwą faunę mierzei, docieramy do bałtyckiej przygranicznej plaży. Jak na wieś upchniętą w najodleglejszym zakątku polskiego terytorium dużo tutaj turystów, mimo ciemnej nocy napotykamy licznych spacerowiczów, tak jak my oganiających się przed nachalnymi przedstawicielami świńskiego rodzaju. Jeśli chcieli tutaj znaleźć odludzie i samotność to będzie im trudno. Robimy sobie zbiorową fotkę na tle rybackiej łodzi i na zapalonych światłach (nie wszyscy posiadają) wolno wracamy do Krynicy.

W ciemnościach mijamy nieciekawą placzkę z ołtarzem polowym,

gdzie mieścił się cmentarz menonitów. To jeszcze jeden niepolski ślad w polskich granicach. Menonici to pochodząca z Holandii grupa ewangelików, która w Pierwszej Rzeczypospolitej szukała wolności wyznania, za co oddawała nową ojczyźnie swoje umiejętności uprawy roli na żuławskich depresjach. Ponieważ nie uznawali służby wojskowej, pierwszy rozbiór polski i zajęcie Żuław przez Prusy był dla nich tragedią. Większość menonitów wyemigrowała do Rosji, ci, którzy pozostali musieli zidentyfikować się z niemieckim państwem. Identyfikowali się tak dobrze, że za hitlerizmu korzystali nawet z pracy przymusowej więźniów Stutthof, stąd i wszyscy zostali wysiedleni po wojnie.

Ostatnie dni rajdu mało miały wspólnego z cyklizmem. Dzięki przebiegłej negocjacji Ali Rokickiej wydarliśmy zniżkę na rozbójniczo

drogie bilety promowe do Fromborka, a potem problemem były już tylko gotowanie obiadku i awaria busa, który zabrać nas miał do Lublina. Ulga powrotu do domu znowu mieszała się z planami na przyszłość. Dyskusja uczestników toczyła się pełna niepewności, bo oto cała wschodnia i północna granica została już zaliczona, a przedzieranie się przez góry na razie nie wzbudziło szczególnego entuzjazmu. Poza tym ten zachód mile nas zaskoczył.

Zatem nieco z konieczności w roku 2011 zajedziemy na zachód, nad Odrę i Nysę. I pisząc te słowa niespodziewanie odkrywam, że o naszym rajdzie już w 1993 roku śpiewał proroczo zespół Pet Shop Boys. Sami oceńcie:

*„Go West! Life is peaceful there.
Go West! In the open air.
Go West! Baby you and me.
Go West! This is our destiny.”*



Jadąc przez
aleję gwiazd
w Międzyzdrojach